

Nie będzie Zjazdu, nie będzie! Słońce poszło w zaparte i nie chciało się ani na chwilę wychylić zza ciężkich chmur. Nadzieje, że deszcz przestanie lać stawały się coraz bardziej płonne. Lało troszkę mniej, ale lało. Rzeki nie chciały wstąpić do swych koryt, malutkie, przez większą część roku suche, potoczki dawno przestały się mieścić w przepustach, wystąpiły na krzyżujące się z nimi szosy zrywając asfalt i płyty drogowe. Koniec! Nie da się przejechać. Rwący żywioł zatrzymał w swej tajemnicy głębokość wyrw. Można przecież stracić samochód, a nawet się utopić. Jakże to! Nie weźmiemy udziału w Zjeździe? W trzecim Zjeździe? Niepodobna! Jedziemy? Jedziemy! Przejechaliśmy! Nie można robić inaczej! Tam przecież Krygowsky czekają, a ich nie wolno zawieść. Przejechaliśmy i przyjechaliśmy wszyscy! Mimo ulew i wylewów, mimo błota i wybojów, mimo zerwanych i podmytych dróg byliśmy! Przyjechaliśmy z całej Polski, Niemiec i Słowacji, tak jak być powinno. Szkoda, że nie było nikogo z innych kontynentów. Szkoda, gdyż dawało się odczuć ich brak, a odczytane listy nie wyrównały strat związanych z ich nieobecnością. Wielka szkoda!

Wielki strach w oczach organizatorów zmniejszył się powoli i zmieniał w niepokój tylko, a później w coraz większą radość. W przyjeździe uczestników nie przeszkodziła nawet podmyta do połowy jedyna droga prowadząca z Ropy do Wysowej. Chwała telefonom komórkowym! Nieobecni dają znać, że jadą i że będą. Muszą jedynie poczekać chwileczkę – jakieś półtorej do dwóch godzin, aż strażacy wytną kawałek lasu, wywiozą drzewo, skopią dość stromą skarpe, wyrównają ziemię koparkami, nawiozą szutru i zrobią prowizoryczny objazd. Bez komórek organizatorzy zamartwiliby się na śmierć. Dzwonią także ci, którzy zrezygnowali przez chwilę z uczestnictwa, a teraz żałując swej decyzji informują, że będą, że przyjadą w dniu następnym.

Brakuje kilku osób. Nie będzie ich już nigdy. Uczestnicy Zjazdu zbierają się w grupki, wyjmują albumy fotograficzne i wspominają. Wspominają tych, którzy przysparzali kolorytu naszym spotkaniom. Szkoda, że odeszli! Szkoda, że tylko w naszych wspomnieniach i na zdjęciach pozostali!

Brakuje kilku innych osób. Nie mogli przyjechać zmożeni chorobą lub niedomaganiem bliskich. Przystłana korespondencja tylko troszkę poprawia nastroje, ale bardziej wprowadza w zadumę. Jest jednak nadzieja, że w następnym zjeździe wezmą udział i będą się wraz z nami radować.

Radość jest potrzebna wszystkim udręczonym szarą codziennością, niepokojem o własne i bliskich jutro, niepokojem o kierowanych przez siebie ludzi, niepokojem o interesy i wiele innych spraw.

Pozostawmy wszelkie niepokoje przed podmytą drogą. Niech wyrwa stworzy dla nich nieprzebytą przeszkodę, a radości jak jaskółki przelecą nad nią i dotrą do nas niezatrzymanie przez nikogo!

Tak z pewnością się stało! Gwar wielki, okrzyki i śmiechy ludzi szczęśliwych napełniły cały budynek sanatorium i jego sąsiedztwo. Dom, goszczący zwykle ludzi starych i schorowanych, rozświetlił się życiem, napełnił ruchem i zamigotał fleszami niezliczonych aparatów fotograficznych. Tak będzie przez następne dni, taki będzie cały Zjazd.

Nie udało się jedynie zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Do wymaganego quorum brakło kilka osób. Nic to! Zebranie odbędzie się jutro, a dzisiaj spędzimy czas na rozmowach. Te są nam szczególnie potrzebne, więc będą trwały długo w noc.

Drugi dzień zapowiadał się nudno. Miały być wykłady, a przecież nie na wykłady tu przyjechaliśmy. Takie przekonanie trwało do chwili wygłoszenia pierwszych słów przez wykładowcę o pochodzeniu nazwiska „Krygowski”. Sala, pierwotnie napełniona szumem rozmawiających ludzi, ucichła nagle, aby słuchać bardzo ciekawych wywodów. O szkodliwej, czy też nieszkodliwej chemii dowiedzieliśmy się rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia. Pozwoli to nam inaczej podchodzić do żywności zawierającej tajemnicze dla nas składniki oznaczone literą „E” z jeszcze bardziej tajemniczym numerem.

Trochę niepokoju wprowadziła okulistka w sprawie chorób wieku późnego. Wyglądają one strasznie, ale tylko wtedy, gdy są zaniedbywane. Gdy się chodzi do zwykłych kontroli okulistycznych, można się dobrym wzrokiem cieszyć przez sto lat i dłużej. Następny wykład został odczytany z uwagi na nieobecność autorki. Szkoda, że nie mogła sama go wygłosić! Kolejne były nie mniej ciekawe, niektóre przeniesiono na wieczór, aby słońce (wreszcie wyszło!) nie zakłócało wyświetlania przeźroczy. Pokaz przeźroczy dotyczył dorobku artystycznego Zbigniewa Krygowskiego, więc jakoś obrazu miał wielkie znaczenie.

Nie udało się przekazać pałeczki młodym i wybrać do zarządu inne pokolenie. Tylko dwaj dotychczasowi członkowie Zarządu zrezygnowali z pracy w Zarządzie i zostali zamienieni na ludzi młodych, aby ci mogli z bliska podglądać i uczyć się od bardziej doświadczonych przed przyjęciem od nich obowiązków kierowania Stowarzyszeniem.

Walny Zjazd Stowarzyszenia i wybór Zarządu się odbył, więc można wrócić do biesiady.

A trwała ona długo i uczestnicy znów nie mieli ochoty się rozchodzić. Zapomniano o swoim wieku, wykształceniu, tytułach i stanowiskach. Wszyscy zjednoczyli się w jeden zespół i trwali w nim bawiąc się i śpiewając. Mały zgrzyt nastąpił podczas konkursu na piosenkę sprośną. Jeden z uczestników zaśpiewał troszkę ochryplym głosem i odrobinę jedynie fałszując piosenkę rzeszowską:

O loboga, co się stało?

Kasi w kroku pękło ciało.

Ni to zeszyć, ni załatać,

Ni to z taką dziurą latać!

Jury jednak stwierdziło, że nie spełnia ona wymaganego poziomu sprośności i nie dopuściło jej do konkursu. Śpiewak wychylił resztkę piwa, splunął z pogardą obok stolika i poszedł. Żałował swego kroku długo, bo nie dość, że się nie bawił, to jeszcze nie mógł spać z powodu coraz głośniejszych i sprośniejszych śpiewów.

Ranek wreszcie pogodny!

Jedziemy do Pagorzyny!

Pagorzyna przywitała nas sercem. Kościół przygotował uroczystość, jak na przyjazd kogoś bardzo ważnego - biskupa prawie! Podniosła uroczystość uświetniona została śpiewami chóru kościelnego mogącego konkurować z najlepszymi zespołami tej branży. Było nam dobrze. Było nam dobrze także po wyjściu z kościoła, było nam dobrze po przyjeździe do Domu Ludowego na poczęstunek. To nie był poczęstunek, to było prawie wesele! Sala pękała w szwach, a rodzina Krygowskich nadal nie mogła się pomieścić. Udało się jakoś upchać wszystkich i znów zaczęli się wszyscy upajać przyjemnościami. Przyjemnościami rozmów i jedzenia. A cóż to było za jedzenie! Wychowani na produktach kupowanych w sklepie i zawierających te nieszczęsne E..... z ogromną przyjemnością pochłanialiśmy wystawione na stole to, co powstało na okolicznych polach, okolicznych ogródkach i w okolicznych kuchniach. To dopiero była ucztą! Łza się w oku kręciła wszystkim, którzy odchodząc kiedyś ze swych rodzinnych wsi ku lepszemu światu pozostawiali gdzieś daleko za horyzontem rodzinne domy, przydomowe ogródki z najsmaczniejszymi jarzynami, krówki dające najlepsze mleko, i kręcącą się po kuchni zawsze zapracowaną mamę. To ona piekła najlepszy chleb, to ona robiła najlepsze masło i twarogi, to ona gotowała najlepszy żurek i bigos, to ona kojarzyła z dobrem i bezpieczeństwem. Spożywając podane nam w Pagorzynie podobne do maminego pożywienie, wielu z nas przypominało sobie swoje szczęśliwe dzieciństwo, nie usiłując nawet ukryć wzruszenia. Smaczny chleb nie mógł przejść przez ściśnięte gardła, a wycieranie oczu i nosa niewiele pomagało. Żal odjeżdżać! Nie dotyczy to samych dorosłych, ale i dzieci. Prowadzony do samochodu przez matkę czterolatek wrzeszczał w niebogłosy: „Ja chcę tu na zawsze! Ja chcę tu na zawsze!”

Józef Krygowski z Rzeszowa

